

Boğdan Dohnke

Ogień z Olimpui u stóp Piramidy Księżyca

Trudno znaleźć wydarzenie, które w równym stopniu jak olimpiada pasjonowałoby świat. Jestem przekonany, że jeżeli na ekranie któregoś z telewizorów na świecie nie było wczoraj obrazu z uroczystości otwarcia XIX Igrzysk Olimpijskich w Meksyku to tylko dlatego, że technika jest jeszcze niedoskonała i chyba nie wszędzie dotarł obraz. Ponad miliard ludzi przeżywało jednak tę piękną chwilę, będącą nie tylko uwerturą sportowych zmagani, lecz punktem kulminacyjnym święta humanizmu. Czyż bowiem w fakcie przeżycia świętego ognia z Olimpui, drogą Kolumba do stóp Piramidy Księżyca w Meksyku, w fakcie snowania wytworu wielkiej kultury helleńskich jakim jest olimpiada ze starą kulturą Azteków nie zawiera się humanistyczna myśl wielu współczesnych, którzy czynią wysiłki na rzecz jedności tego świata?

Ten cel osiągnęli organizatorzy odbywającej się właśnie olimpiady. Trwający już od kilku miesięcy wielki międzynarodowy festiwal kultury z okazji igrzysk, nie miał dotychczas sobie równego. Twórcy i odbiorcy, dzieła dawne i współczesne, malarstwo dzieci z wszystkich kontynentów, a przede wszystkim sztuka ludowa całego świata, spotkały się w Meksyku. Gospodarze igrzysk twierdzą bowiem, że „aby zrozumieć i pokochać jakiś



Emblemat Igrzysk Olimpijskich i napis „Paz” na jednym z gmachów w stolicy Meksyku.

CAF — TASS

kraj trzeba poznać jego sztukę ludową”. Wszystkie dotychczasowe próby razem wzięte zmierzające do związania kultury duchowej z fizyczną, takiego nie osiągnęły efektu jak właśnie w Meksyku. Ale nie jest przypadkiem, że właśnie w tym kraju o bogatej kulturze i tradycji osiągnięto ten sukces.

Rozpoczęta wczoraj olimpiada pasjonowała świat od czterech lat. Nigdy jeszcze nie wprężniono do przygotowań olimpijskich takiego arsenału środków jak właśnie przed obecnymi igrzyskami. Niektórzy zaczęli już poddawać w wątpliwość sens sportowy tej imprezy, skoro są le gimnastyczne zamieniono na laboratoria, a kandydatów do startu w XIX Igrzyskach w żywe automaty, realizujące zaprogramowane osiągnięcia najcięższych mózgów wszelkich dziedzin nauki, skoro organizm ludzki wystawia się na najcięższą próbę poza granicą jego teoretycznych możliwości. A wszystko to determinowane wysokością, na której znajduje się arena olimpijska.

Można liczyć medale i rekordy olimpijskie, można liczyć państwa uczestniczące, kolory skóry, wyznania i przekonania polityczne. Liczyć to znaczy tylko dodawać. Rachunek olimpijski jest bowiem zawsze plusowy. Sam fakt, że ze skromnej imprezy sportowej inaugurującej w Atenach erę igrzysk nowoczesnych, olimpiady przerodziły się w wielkie święto ludzkości, jest dowodem, że idea olimpijska zyskała powszechne uznanie. Mówi ona, m.in. że: „celem ruchu olimpijskiego jest popieranie pięknych wartości fizycznych i moralnych, rodzących się podczas przyjaznych amatorskich zmagani sportowych na boiskach, które łączą młodzież świata w czteroletnim festiwalu sportowym, tworzą między-

narodowe poszanowanie i dobrą wolę i przyczyniają się do budowy lepszego i bardziej pokojowego świata”.

Kiedy w greckiej Olimpui rozpoczęto igrzyska, milki ogłószy wojen. Nawet najwięksi barbarzyńcy w tamtych czasach, szanowali to prawo. Nam wojny uniemożliwiły organizowanie olimpiad. Przeżyliśmy czas, w których Polak z olimpijskiego podium zwycięzców był jednym z pierwszych kandydatów do zniszczenia w komorach gazowych, gdyż w mentalności brunatnych władców III Rzeszy reprezentował zbyt duże wartości biologicznie podbitego narodu. Żyjemy w czasach, gdy obok dzieła triumfatora olimpijskiego, na tej samej stronie gazety jest zdjęcie amerykańskiego „boga grzmotów”, zrzucającego bomby kulkowe na Wietnam.

Idea olimpijska — choć powoli — notuje sukcesy, a największym z nich jest chyba to, że na podium zwycięzców stoją obok siebie równi, czarni obok białych, pastuch obok inżyniera, protestancki pastor obok komunisty. Nie ma natomiast miejsca w olimpijskiej rodzinie dla Republiki Południowej Afryki, która stosuje dyskryminację rasową. Jednym z członków olimpijskiej wspólnoty jest Niemiecka Republika Demokratyczna, państwo, o którego istnieniu wie świat, a którego to fakt nie chce dostrzec niektórzy politycy.

Z zainteresowaniem śledzić będzie my przez najbliższe 2 tygodnie wieści płynące z Meksyku. Radować będziemy się z każdego medalu polskiego sportowca, z każdego wyniku, będącego wyrazem stale rosnącego poziomu sportu na świecie. Nie zapominać jednak, że walka o medale jest tylko fragmentem pięknego ruchu olimpijskiego.

Mjr Edward Łukasik

ŻOŁNIERZE SZTURMU BERLINA

Dokładnej daty nie pamiętam, ale obecnie wiem, że było to chyba 29 lub 30 kwietnia, kiedy przyjechałem ze sztabu 1 Armii i zameldowałem się u dowódcy pułku, płk. Maksimczuka. Byłem wtedy już oficerem w stopniu chorążego. Pułk w tym czasie zajmował pozycje obronne w rejonie kanału Hohenzollernów.

Dowódca pułku na odprawie powiadomił dowódców batalionów, że pierwsza Dywizja Pancerna im. Tadeusza Kościuszki weźmie udział w szturmie Berlina.

Po krótkich przygotowaniach pod oddziały naszego pułku zostały zluzowane i wyszły na szosę, która prowadziła na Berlin. Na szosie czekały na nas samochody. Natych-

poważnym stopniu przyspieszały szybkie zakończenie działań bojowych w Berlinie.

W czasie zdobywania jednego z budynków niedaleko rozlokowanego sztabu pułku, wydałem rozkaz podległym mi żołnierzom, aby jak najszybciej zlikwidowali stanowiska ogniowe Niemców, broniących się w budynku. Skrycie podeszliśmy do budynku. Jeden z żołnierzy — aby zapewnić bezpieczeństwo — rzucił do mieszkania granat przez wybite szyby w oknie. Po wybuchu zaczęliśmy kolejno tym oknem wskakiwać do budynku. Zdobyliśmy kolejno I piętro, II oraz piwnicę. Niemieckie stanowisko ogniowe, które znajdowało się na parterze szybko zostało opuszczone. Stwierdziłem, że

25 LAT
LUDOWEGO
WOJSKA
POLSKIEGO

kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach wyczołgało się na I piętro. Nie namyślając się, wydałem dalsze rozkazy żołnierzom (nazwisk nie pamiętam), aby w trójkę zlikwidowali wyczołgujących się Niemców na I piętrze, a pozostali — wraz z dowód-

czą drużyny st. szers. Januszkiem — wczem czy Januszewskim, dokładnie tego nie pamiętam — sprawdzili piwnicę budynku. Uważając, że na parterze nie ma już żadnego Niemca, postanowiliśmy sprawdzić parter, a resztą myślałem, że gdyby byli, to żadnych trudności z nimi mieć nie będziemy. Niestety, wpadliśmy w ciężkie tarapaty. Uważaliśmy, że w budynku nie ma tak dużej sily, na jaką natrafiliśmy w ostatecznej fazie walki.

Ponadto pewność zwycięstwa doprowadziła do wielkiej strzelaniny. Nasza walka była utrudniona, ponieważ bardzo wielu oficerów niemieckich przebrało się w ubrania cywilne i to w pewnym stopniu hamowało nasze energiczne działanie i dlatego Niemcy zadawali ciężkie straty naszym żołnierzom. Tak właśnie było w zdobywanym przez nas budynku, gdzie 3 żołnierzy zostało rannych. Ja natomiast, gdy przyszukiwałem pomieszczenia na parterze, również wszedłem do jednego pokoju i o dziwo, gdy otworzyłem drzwi następnego pokoju, kilku cywilnych Niemców — tak mi się wydawało — skierowało pistolety maszynowe w moim kierunku.

Niemcy i ja stanęliśmy naprzeciw siebie tak, jak gdyby nam ręce zeszytniały. Odruchowo, trzymając granat w lewej ręce wyciągnąłem na okrzyk „Hände hoch” zalewkę, trzymając go nadal w lewej ręce. W prawej trzymałem pistolet skierowany luźno do Niemców. Jednak ani ja, ani Niemcy nie oddaliśmy wystrzału. Po kilkunastu sekundach Niemcy rzucili broń. Podnieśli ręce do góry i zaczęli krzyczeć i pokazywać na moją lewą rękę, w której trzymałem nadal granat z wyciągniętą zalewką. W tym czasie również i ja zdawałem sobie sprawę, że gdy tylko lekko zwolnię lewą rękę, nastąpi wybuch i zginę lub zostanę ranny. W tym momencie

wpada do pokoju, w którym wraz z dwoma jeńcami się znajdowałem — dalszych dwóch Niemców. Doszedłem błyskawicznie do wniosku, że tylko szybkie działanie daje pozytywne rezultaty. W tym czasie bardzo przeszkadzał mi granat z wyciągniętą zalewką. Nie wiedziałem, co z nim zrobić. Wyrzucić za okno nie mogłem, ponieważ wokół budynku znajdowali się nasi żołnierze, którzy przyszli nam z pomocą, słysząc ciągłą strzelaninę. Miałem zamiar rzucić pod łóżko lub za szafę, jednak wiedziałem, że to mnie nie uratuje. Po opanowaniu nerwów zacząłem wyprowadzać ich przed budynek.

W czasie wyprowadzania jeńców z budynku, spotkałem żołnierzy którym przekazałem jeńców, celem odprowadzenia do sztabu pułku. Sam rzuciłem granat odbezpieczony do jednej z pustych piwnic.

Im dalej podołaliśmy nasze wkroczyły w głąb Berlina, tym walki stały się cięższe i trudniejsze. Bardzo ciężkie boje toczyliśmy przy zdobywaniu stacji metra przy słynnej Bismarckstrasse. Wielu żołnierzy, mężnie walcząc, uważało, że wkrótce wojna musi się skończyć naszym zwycięstwem, że nastąpi ugratunka od wielu lat wolności. Wolności tej, niestety, nie doczekali się wszyscy. Wielu pozostało na zawsze w Berlinie.

NOTATKI Z KRAJU NOMADÓW

Jedziec skaczący z pola złotego przez czarne na czerwone jest symboliczną postacią współczesnej Mongolii. Jak już wspominałem („Głos” z 3 bm.) symbolizuje on kraj, który z feudalizmu w połączeniu z lamaizmem przechodzi do socjalizmu pomijając w swym rozwoju ustrój kapitalistyczny. Ten motyw powtarza się w mongolskiej sztuce współczesnej wielokrotnie. Jak gdyby mieszkańcy krainy nomadów chcieli podkreślić wobec wszystkich swój wyczyn nie mający precedensu w historii ludzkości.

Istotnie, choć Mongolia wkroczyła na drogę budowania socjalizmu wkrótce po Rosji (11 lipca 1921 r. ogłoszono zwycięstwo mongolskiej rewolucji ludowej) to jej warunki startowe były nierównie trudniejsze. Pamiętamy, że było to wówczas państwo feudalno - teokratyczne, w którym głową państwa był bogdó - gegen, będący jak gdyby lamaickim prymasem, a więc głową kościoła. Feudalizm panował wtedy w Mongolii w czystej postaci, ze wszystkimi zależnościami, pańszczyzną itp. A lamaizm wywierał niezwykle silne piętno na życiu kraju. Mongolski odłam buddyzmu nazywa się lamaizmem dlatego że w jego naukach o zbawieniu znacznie większą rolę niż w innych kierunkach buddyzmu odgrywa duchowni — lamowie czyli „ludzie wózów”. Ubrani w żółto - czerwone stroje sięgające ziemi do dziś są widocznymi w stolicy Mongolii Ulan Bator.

Dziś żyją jedynie nieliczni w porównaniu z czasami, w których z

każdej rodziny przynajmniej jeden syn udawał się do jednego z pięciu - set mongolskich klasztorów. Jeśli synów było trzech przynajmniej dwóch z nich przeznaczano na lamów. Ci lamowie dysponujący ogromnymi obszarami i wielkimi trzodami ciągnęli wraz z feudałami świeckimi żywotne soki z mongolskiego ludu. Rewolucja 1921 roku nie od razu odebrała im środki wyżytku. Robio-

potrawy mączne i niektóre artykuły włókiennicze (a i to od niedawna). Skórę i futra też robią u siebie. Żywnienie zestawiają w ten sposób, ażeby w produktach znalazły się mięso i mleko, które hodowcy zwierząt mają zawsze pod ręką. Piszęmy przecież o kraju, który zajmuje pierwsze miejsce w świecie pod względem liczby zwierząt hodowlanych na głowę ludności. Kraju, którego zachodnie połacie są terenem najlepszych pastwisk Azji Centralnej, gdzie przez 2-3 lata dobrej pogody można kilkakrotnie zwiększyć

gęstość w pierwszym pokoleniu. Żyje jeszcze profesor Zinczin, poliglota, pierwszy Mongoł, jaki uzyskał wyższe wykształcenie (w Leningradzie).

Trzeba też było rozwinąć higienę, w tym kraju gdzie śmiertelność noworodków była rekordowa. Rezultaty tego działania są jak najbardziej widoczne. Przrost naturalny wzrósł od 0,5 na 1000 mieszkańców w 1938 r., do 17,9 w 1955 r. i 30,6 w 1958. Obecnie Mongolia ma najwyższy wskaźnik przyrostu naturalnego wśród krajów demokracji ludowej.

Za nią dopiero są Chiny, potem gdzieś daleko Rumunia i kolejno inne. Ten wzrost jest jednym z czołowych, charakterystycznych nurtów współczesnego życia mongolskiego, którego rezultaty dla przyszłości kraju będą znamienne.

Mniej więcej dzie się lat trwa zagospodarowywanie ziem pod uprawy rolne prowadzone na wielką skalę. Zakłada się duże, zmechanizowane państwowe gospodarstwa rolne, tam głównie prowadzi się uprawę ziemi i hodowlę rasowego bydła zarodowego (mongolskie stada nie są najwyższej jakości). Ogólna powierzchnia zasiewów wzrosła z 83,2 tys. ha w 1957 r. do 640 tys. ha w 1964 r. Dziś Mongolia może już eksportować na niemałą skalę pszenicę. Oczywiście, dzie się tak dlatego, że spożycie wewnętrzne jest znikome, chleb jada się przede wszystkim w miastach, wędrowni nomada nie ma go gdzie upiec ani kupić. Oczywiście rodzi się pytanie ważne z ekonomicznego i ogólnopństwowego punktu widzenia — jakie są granice upowszechnienia rolnictwa, jaka jest opłacalność tego typu produkcji

Dokończenie na str. 2

Mieczysław Skąpski

Skok na pole czerwone

Korespondencja własna „Głosu”

no to stopniowo i dopiero w 1930 r. można było stwierdzić, że feudałowie i lamowie przestali istnieć jako klasa. Ale wtedy właśnie dali znać o sobie jako groźny wróg znieczając kontrrewolucyjne powstanie, które pochłonięło niemało ofiar. Kraj leżał rany, gdy wybuchła druga wojna światowa, która dotknęła przecież także Mongolie.

Tak więc na dobrą sprawę Mongolia zaczęła w pełni realizować swoje plany uprzemysłowienia dopiero po 1945 roku. Było to zadanie niezwykle trudne. Wszystko przemawiało przeciw takiemu zamierzeniu. Przede wszystkim przyzwyczajenia i tradycje nomadów. Ich życie nastawione było od stuleci na samowystarczalność. Pasterze — koczownicy sami sporządzali dla siebie jurtę, sami produkowali żywność i odzież. W mieście zaopatrują się głównie w

pogłowie. Ale i odwrotnie — surowa zima dziesiątkuje stada, bywa że jednej zimy ginie i 5 milionów sztuk. Bezpośrednia zależność od przyrody jest u nomadów znacznie większa niż u ludów rolniczych.

Idzie więc o to, by tę zależność zmniejszyć. Idzie o wpojenie ludziom tak elementarnych zdawałoby się nawyków jak koszenie trawy i gromadzenie siana na zime, skłanianie ich do uprawy ziemi i polosiadłego, a następnie osiadłego trybu życia. Aby to osiągnąć trzeba rozwinąć oświatę, w kraju gdzie do rewolucji istniała jedna szkoła w stolicy Urdze (przedrewolucyjna nazywała Ulan Bator). Dziś sieć szkół oplata cały kraj, Mongolia ma też swoje szkoły średnie oraz wyższe uniwersytetem, który powstał w 1941 r. Jest więc już inteligencja, ale pamiętajmy, że jest to inteli-



Tadeusz Martyn: „...Najwięksi zbrodniarze wśród kaliskich sędziów — Mueller, Walter, Saltzberger — żyją do dziś i pracują w aparacie sprawiedliwości NRF”.
Fot. — S. Marcinkowski

DZIAŁACZ — HISTORYK — OSKARZYTEL

Kapitan Tadeusz Martyn dziś reni- sta to znany działacz społeczny, a przede wszystkim historyk, badacz dwudziestowiecznej historii regionu, organizator wielu pasjonujących ekspozycji. Publikuje swoje prace badawcze w wielu pismach, a z zebranego przez niego materiału nakręcono już dwa filmy dokumentalne.

— W badaniach moich — mówi Tadeusz Martyn — szczególnie wiele uwagi poświęcam tragicznemu okresowi okupacji hitlerowskiej na tym terenie. Niektórym być może się zda, że w Wielkopolsce okupacja miała charakter łagodniejszy. Nieprawda. Tylko w lutym 1940 r. hitlerowcy wysiedlili z Wielkopolski 40 tys. ludzi! A w samym Kaliszu, gdzie okupacja rozpoczęła się 4 września 1939 r., było podczas wojny 40 tys. ofiar w zabitych i pomordowanych, łącznie z ludnością pochodzenia żydowskiego...

— Panie kapitanie, o okropnościach tamtego okresu nie wolno zapomnieć, tymczasem okazuje się, że mało kto zna okupacyjną historię naszego miasta. Prosimy o kilka słów na ten temat.

— Szczególnym okrucieństwem w Kaliszu wstawili się sady niemieckie, tzw. Sondergericht. W moim posiadaniu jest ponad 1000 teczek z dokumentacjami procesów — strach pomyśleć, o co ludzie byli wówczas oskarżani, o jak błahе sprawy. Wszy- skie wyroki są skazujące, a przecież niemożliwością jest skompletować dziś wszystkie akta. Wyroków było wiele. Najwięksi zbrodniarze wśród kaliskich sędziów — Mueller, Walter, Saltzberger — żyją do dziś i pracują w aparacie sprawiedliwości NRF. Wiemy gdzie. Nikt nie po- ciąga ich do odpowiedzialności.

Szczególnie tragiczna historia to sprawa Gaukinderheimu, do dziś ma- ło wyjaśniona, nad którą szczególnie pracuję. Minister Spraw Wewnętrznych Rzeszy z polecenia Him- mlera wydał specjalne zarządzenie

dla Kalisza, na mocy którego kie- rownik Gaukinderheimu był jedno- cześnie szefem biura meldunkowego, nikomu niepodległym. Załatwiając formalności zmieniając dzieciom od 2 do 14 lat imiona i nazwiska, dzieci były zabierane rodzicom bez ich wie- dzy i zgody i kierowane do wspo- mnianego domu, gdzie otrzymywa- ły pierwszy szlif niemieckości. Po 6 tygodniach wysyłane były dalej, po- czym kierowano je do niemieckich rodzin. Oczywiście uprawiano ten proceder tylko z tymi dziećmi, które

CIĘKAWI LUDZIE CIĘKAWY SPRAWY

uznano za „rasowo odpowiednie”. Kierowniczką była żyjąca do dziś Johanna Sender — mieszka w NRF, a przeciętnie pod jej „opieką” prze- bywało około 80 dzieci. Tragedia po- lega na tym, że większości dzieci do dziś nie odnaleziono, żyją zapewne jako obywatele niemieckie nie zna- jące nawet swego pochodzenia. Jak może coś pamiętać dwuletnia dzie- wczynka, której — autentyczne — zmienia się nazwisko z Bogumiła Rostocka na Erna Rosta? Wstrząsa- jące są zeznania matek, którym za- brano małe dzieci i które do dziś nie wiedzą nic o ich losie...

— Poza pasją badacza kierowa- ły Panem zapewne i inne pobud- ki co spowodowało szczególne za- jęcie się okresem okupacji? Na- jakie trudności napotyka Pan obecnie w swej działalności?

Dokończenie ze str. 1

w warunkach stepowych. Odpowiedź nadejdzie niebawem.

Podobna jest sprawa z przemy- słem. W jakim tempie go rozwijać, jakie dziedziny szczególnie intensy- fikować. Czy w warunkach mongol- skich może obowiązywać zasada priorytetu przemysłu ciężkiego? Czy uda się przekształcanie nomadów w robotników, przesadzanie ludzi z ko- ni do obrabiarek? Brak klasy ro- botniczej rzeczywiście nie pozwalał zrealizować wielu ambitnych zamie- rzeń. Po prostu nie miał kto budo- wać, a zagraniczni eksperci przezna- czeni do nadzoru (m. in. Polacy) mu- sieli się brać po prostu za kielnie czy łopaty. I tak jednak zrobiono dużo. Powstały zupełnie nowe mia- sta, zbudowano transmongolską li- nię kolejową, rozpoczęto eksploata- cję ropy naftowej i węgla, zapoczątko- wano rozwój przemysłu maszyno-

— No cóż, trzeba pomóc ludziom, nie można dopuścić, aby społeczeń- stwo zapomniało bądź o czyichś o- krucieństwach, bądź o czynach chwa- lebnych, o walce z okupantem, za- którą płacono się życiem. Trzeba po- wiedzieć coś ludziom o tych, którzy już nam nie powiedzą... Szczególnie jednak zbieram dowody zbro- dni niemieckich. Trudności? Łatwiej jest dziś o dokumenty sprzed lat 500 czy 200, niż sprzed 30 i 25. To fakt — jednak udało się mi zebrać 1000 teczek — dokumentów zbrodni niemieckich „prawników”, dość ob- szerną dokumentację kaliskiego ru- chu oporu, mam też tajne akta ko- mendy powiatowej AK, które otrzy- małem od ostatniego komendanta, żyjącego dziś w Sieradzkim „Gro- miki” — Zakrzewskiego. Mam odp- isy wielu wyroków, protokoły z e- gzekucji, których dokonywano w Kaliskim, np. w Marchwacu, Li- sie, Winiarach, w mieście masowo rozstrzelivano na ul. Podmiejskiej. Dokumentów jest bardzo dużo — ale to kropla w morzu wobec tego, czym powinniśmy dysponować.

— Panie kapitanie, jest pan wi- ceprzwodniczącym Okręgowej Komisji do Badania Zbrodni Hi- tlerowskich, wygłasza Pan pre- lekcie, organizuje odczyty i spot- kania. Zorganizował Pan spotka- nie wykładowców tajnego naucza- nia, obecnie jest Pan jeźdźcą nie- twórcą, to w ogromnej mierze współtwórca pierwszej w Polsce wystawy plakatu okupacyjnego. Czy można wiedzieć, nad czym Pan obecnie pracuje?

— Wkrótce zakończę prace nad książką pod roboczym tytułem „Ka- liska droga do wolności”. Już pra- cuję nad drugą, której tematem bę- da walki o umocnienie władzy lu- dowej w Kaliszkim i okolicy — do- tad jest to raczej terra incognita... Ciesze się też bardzo, że zaczyna się realizować budowa muzeum Marii Dąbrowskiej w jej dworku w Ru- sewie. Jestem przewodniczącym spo- łecznego komitetu tej budowy. Od redziny pisarki udało mi się wydo- stać jej biurko i wiele cennych dro- biazgów. Obecnie wyprowadza się ostatni lokatorzy, a 15 bm. na teren dworku wkroczą ekipy adaptacyjne.

— Dziękując serdecznie za rozmowę do- damy jeszcze od siebie, że film oparty na dokumentach przedstawionych przez kapłana Martyna wyświetlono ostatnio w TV, a z okazji otwarcia wystawy pla- katu odbyła się premiera filmu „Akt oskarżenia”, gdzie głównym oskarżycie- lem zbrodniarzy hitlerowskich działają- cych w Kaliszkim i żyjących do dziś jest właśnie nasz rozmówca.

Rozmawiał: MAREK TRUSZKOWSKI

Wanda Chila

Wielkopolscy harcerze na swój zjazd

W dniach 14 — 16 bm. odbywał się będzie w gmachu warszawskiej Filharmonii IV Zjazd Związku Harcerstwa Polskie- go. Chcielibyśmy — w związku z tym — przedstawić licznym sym- patykom tej organizacji jej między- zjazdowy dorobek, a także zamie- rzenia i postulaty, z którymi zamie- rza wystąpić na zjeździe.

Kto w zielonym, wiejskim przed- szkolu bawi maluchy ze wsi? Kto uczy szacunku dla pracy fizycznej? Kto organizuje obozy letnie, o ja- kich można marzyć przez cały rok? Kto wreszcie tłumaczy zwyczajnym, prostym językiem, co znaczy patri- otyzm, internacjonalizm, poczucie obywatelstwa? Dla nas, dzieci, od- powiedź jest jedna: harcerze.

Harcerze już dawno wypracowali w swojej organizacji wzorec ideowo- pa- triotycznego, a także społecznego wy- chowania młodego obywatela. M. in. po- przez z pozoru nie znaczące i nie- raz śmieszne z nazwy — akcje w ro- dzaju: „Niewidzialna ręka”, „Ojcowie — dzieciom”, „Jesteśmy gospodarza- mi...”, „Ha!-la” (co za Ha!-la? — pytali niewtajemniczeni). Za każdym jednak z tych kryptonimów kryła się masa jakże potrzebnej, trudnej i żmud- nej roboty. Roboty, która daje — przy- pomniacie nam w tezach na V Zjazd partii — podstawy do wychowania mło- dych ludzi na obywateli nie tylko z nazwy.

Na zjazd każda Chorągiew kraju jedzie z własnymi postulatami, z własnym dorobkiem. Jesteśmy, my Wielkopolanie, w tym szczególnie korzystnym i przyjemnym położe- niu, że za naszą młodzież harcerską rumienić się nie musimy. Nie tylko bowiem podjęła ona cały nało- żony na nią trud, związany z róż- norodnymi i bardzo aktualnymi za- łożeniami Głównej Kwatery, z któ- rych wywodziła się z honorem, ale również wystąpiła z szeregiem wła- snych inicjatyw.

W całym kraju młodzież naślado- duje dzisiaj harcerzy wielkopols- kich przejmując ich czyn, ich po- mysłowość. Wielkopolska np. zaini- cjowała — a dziś już prowadzi — sprawę ideologicznego wychowy- wania dzieci i młodzieży. To u nas zrodziła się myśl obierania patro- nów szkoły, a tym samym wybie- rania przez młodzież swojego boha- tera. To jest nasz, wielkopolski sys-

tem kształtowania charakteru dzie- ka.

W zeszłym roku powstały w za- sięgu naszej Chorągwi tzw. kluby „Omega”, oparte na popularnych broszurach Państwowego Wydaw- nictwa Naukowego o tym samym tytule. O co w tym wypadku cho- dzi harcerzom? Dawno podjęta ini- cjatywę klubów, czyli ideę kształ- cenia osobowości poprzez wiedzę — zapoczątkowały już uniwersytety społeczne, z niezłym efektem pro- wadzone m. in. przez ZHP. Miło wspomnieć, że klubów takich ma- my obecnie w Wielkopolsce 80 i że duży pożytek wynoszą one ze spe- cjalistycznych obozów letnich.

Cała młodzież harcerska włącza się obecnie w dyskusję o tym, ja- ka jest rola ZHP w szkole. Może ono włączyć się w ogólnoskolne plany wychowawcze, ale tylko wle- dy, gdy — w myśl jego założeń — będą one przygotowywane oddolnie, a nie odgórnie, jak to się dotąd w szkołach dzieje.

Inicjatywa przyjmowania przez szkoły imion patronów to pierw- szy próg zdobywania wiedzy o po- stepowych, rewolucyjnych trady- cjach własnego regionu.

Inne, wynikające z zasad patrio- tyzmu hasło brzmi: przez pracę fi- zyczną, do szacunku dla trudu tych, którzy Polskę budują. Na budowie i w laboratoriach. Harcerze chcą i potrafią to pokazać: chcą i po- trafią nauczyć szacunku dla pracy — właśnie poprzez czynny udział w niej. Ich czyn przedzjazdowy wy- niósł 700 000 zł. Harcerze poznali w nim trud własnych rąk.

Na zakończenie warto przypomnieć i to, że w okresie międzyzjazdowym wiel- kopolska organizacja ZHP wzrosła o 86 tysięcy w 1964 roku do 143 000 w br. W akcji letniej 1964 roku na obozach było 8 000 dzieci, a w tzw. akcji lata nieobozowego brało udział 25 000 dzieci. W roku bieżącym na obozach było 16 000 zachwyconych uczestników, a w mie- scie lub na wsiach (w miejscach zamie- skania) bawiło się z harcerzami do- skonale aż 98,5 tysiąca maluchów.

Pozostaje więc tylko życzyć har- cierzom, a przede wszystkim wieloty- siecznej rzeszy, chętnie poddają- cych się ich metodom pracy — ma- luchom dalszych sukcesów w pra- cy. Nie tylko na letnich obozach, ale i we wszystkich szkolnych dru- żynach.

Skok na pole czerwone

wego. Z przemysłów przetwórczych najlepiej rozwinięty się skórzano - o- buwniczy, włókienniczy i spożywczy. Przeprowadzono i prowadzi się na- dał wielkie badania geologiczne. Wy- kryto wielkie bogactwa mineralne, niestety, nie są one jeszcze ciągle dostatecznie zbadane. Ale odkry- to pokłady węgla kamiennego, złoża ropy naftowej, rudy żelaza, miedzi, wolframu, cyny, ołowu, srebra, złota, kwarcu, fluorytu, turkusy. Występuje wiele materiałów budowlanych: mar- mur, azbest, kreda, asfalt i inne. Na ich bazie właśnie zbudowano duże zakłady cegły silikatowej w Darcha- nie (zaprojektowane i nadzorowane przez Polaków), które dają najlep- szy obecnie materiał budowlany w Mongolii zaspokajając potrzeby nie- mał całego kraju.

Wielu do wszystkiego czeka na zago-

spodarowanie. Brak rąk do pracy, hamulce w postaci niskich kwalifi- kacji, braku kultury technicznej, przyzwyczajenia do wędrownego try- bu życia, tradycji — nie pozwalają od razu zrobić zbyt wiele. Znale- zienie właściwej drogi rozwoju w kraju o ludności koczowniczo - pa- sterskiej wyrosłej w feudalnych wa- runkach ustrojowych nie jest łatwe. Nie można się tu na nikim wzoro- wać, trzeba znaleźć własną drogę. Wprowadza się więc co pewien czas korektury do planów wieloletnich. Mniej się obecnie akcentuje budowę wielkiego przemysłu, więcej rozwój hodowli. Podejmuje się kroki zmie- rzające do zwiększenia zatrudnienia w hodowli kózstem nadmiernie ro- zbudowanej administracji. W stycz- niu br. zlikwidowano 3 ministerstwa, a 1500 zwolnionych fachowców skie-

rowano na wieś. Fachowcy jak wsze- dzie upodobałi sobie biurka i trze- ba środków administracyjnych, by ich osiedlić tam, gdzie są najpo- trzebniejsi.

Problemy piętrzą się. Władza zaś musi postępować delikatnie, albo- wiem w stosunku do nomadów skut- kuja jedynie argumenty i rzeczowa perswazja. Nieprzekonany pasterz może się zawsze odwrócić i powe- drować daleko w step. Na razie dla niego i jego stada wszędzie jest miej- sce. To jest sytuacja, jakiej bodaj nigdzie nie znajdziesz. Ale z nią wi- ać nie trzeba się liczyć.

Niewątpliwie Mongolia robi ogro- mne postępy z roku na rok. Jeździec na dzielnym koniu przesadza czarny obszar kapitalizmu i z żółtego pola feudalizmu przeskakuje wprost na czerwone socjalizmu. Ile jednak przy tym przeskoku kłopotów, tru- dności, zahamowań — o tym naj- lepiej wiedzą sami Mongołowie.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

do redaktora „Głosu”

Powstaniec Czesław Ganke

W „Głosie Wielkopolskim” z dnia 1 i 7 października 1968 (Wydanie 4B, nr 238) w artykule Lecha Trze- ciakowskiego pod tytułem „U źródeł zrynu powstaniec” — podano błąd nie nazwisko śp. Męża mego, jako Czesława Gankę zamiast Ganke. Uprzejmie proszę o sprostowanie.

Stanisława Ganke
Grodzisk Wlkp.
Przemysłowa 10

Przeglądamy Prasę

Ćwierćwiecze naszych ludowych sił zbrojnych jest okazją do wielu publi- cystycznych wystąpień. Niektóre czaso- pisma całe swoje wydania poświęciły w tym tygodniu temu jubileuszowi, jak np. „Żołnierz Polski”, który ukazał się wraz z dodatkami literackim i barwną tablicą stopni wojskowych; w tym ty- godniku „O obowiązku obrony Ojczy- ny” pisze wiceminister obrony narodo- wej — gen. Grzegorz Korczyński. Całe wydanie problemom wojska poświęca także „Walka Młodych”.

NAJKRÓTSZĄ DROGĄ DO POLSKI

W artykule pod tym tytułem Kazi- mierz Wojciechowski omawia w „Gło- sie Nauczycielskim” historię Ludowego

Wojska Polskiego, po czym stwierdza: „Każda krew polska przelana na róż- nych frontach II wojny jest jedyną o- drogą. Każda śmierć hitlerowskiego zo- lnierza za naszą polską ręką przynosiła wyzwolenie ojczystego kraju. Ale to od- dział polskie formowane na Wschodzie przyniosły wolność ziemi polskiej, bro- dząc jej w krew, narodowi polskiemu, umę- czonemu w niemieckim jarzmie.

Pod Lenino walczyło niespełna 12 ty- siący żołnierzy. W lipcu 1944 r. prze- kroczyła Bug Armia Polska w sile 104 000 zo- lnierzy. W pierwszych dniach maja 1945 roku 1 dywizja zdobyła wraz z oddzia- łaми radzieckimi stolicę hitlerizmu — Berlin. W tym czasie Armia Polska li- czy już przeszło 400 000 żołnierzy.

Zwycięskie oddziały niosąc wolność, stwarzają jednocześnie warunki do po- stawiania zrębów władzy robotników, chłopów, tworzenia Polski Ludowej.

Dlatego też słusznie dzień bitwy pod Lenino uważamy za datę powstania Lu- dowego Wojska Polskiego, a rocznicę tej bitwy czcimy, jako Święto Żołnierza Polskiego”.

ZMOTORYZOWANA, ZMECHANIZOWANA...

Współczesnemu wyposażeniu Wojska Polskiego w środki techniczne poświę- ca uwagę „Motor”. W wydawie dla tego tygodnika szef służby czołgowa- samochodowej MON — Henryk Rapa- cewicz, mianowany w tym tygodniu ge- nerałem brygady, stwierdza m. in.:

„Wskaźnik motoryzacji armii obejmu- jący środki transportu, czołgi, samoloty, maszyny inżynierskie itp. (liczony) il- ością KM na jednego żołnierza, który w armii przedwojennej wynosił 2 KM, jest dzisiaj 6,2 KM, w 1945 r. — 2 KM, a dziś bardzo wysoki i wynosi ponad 40 KM. Stopień mechanizacji wojsk lądow- ych wskazuje, że obecnie w oddziałach pancernych i zmechanizowanych jeden pojazd mechaniczny (czołg, transporter i samochód) przypada odpowiednio na 5- 6 żołnierzy”.

WOJSKO POLSKIE W LITERATURZE

Temu tematowi „Kultura” poświęca dwie publikacje. W artykule „Przez Siedlce i Berlin do współczesności” Woj- ciech Żukrowski pisze o literaturze zwią- zanej z ludowymi siłami zbrojnymi:

„Musimy sobie z całą szczerością po- wiedzieć — stwierdza — że godna epo- pei historia walk 1 dywizji imienia Ta- deusza Kościuszki a później 1 Armii nie została narodowo przedstawiona w całej okazałości. Mimo że mogłoby przyto- czyć kilkadziesiąt książek daleki jestem od pomawiania autorów o brak odwagi w podejmowaniu problemów, tym bar- dziej o niedostatek talentu. Obraz for- mowania się armii, toczonych walk i prze- de wszystkim głębokich przemian w świa- domości i psychice jej żołnierzy nie zo- stał w pełni utrwalony”.

Ten sam tygodnik drukuje fragmen- ty referatu Olgierda Terleckiego „U- dział Polski w II wojnie światowej na Zachodzie w literaturze”.

WSPÓŁCZESNE MIESZCZANSTWO I DROBNOMIESZCZANSTWO

Tygodnik „Argumenty” większość swe- go ostatniego wydania zapewnia publi- kacjami o współczesnym mieszczan- stwie, przedstawiając m. in. wybór wy- powiedzi Włodzimierza Lenina na ten temat. Natomiast we „Współczesności” Adam Staniewski drukuje artykuł pt. „Drobnomieszczaństwo”. Jest to czę- ściowo polemika z innymi wypowiedzia- mi na ten temat.

Autor podziela pogląd, iż drobnomie- szczaństwo w naszym układzie jest ma- ksymalnie usatysfakcjonowane, że w ja- kiejkolwiek zmianie klasa ta nie jest zainteresowana, że jest ona nosicielem stabilizacji i społeczno-ekonomicznego status quo. Staniewski podaje m. in. przykład wybudowania w Częstochowie fabryki, która może zaspokoić zapotrze- bowanie kraju na długopisy. Ale ten o- biekt wykorzystuje tylko czwartą część swojej mocy, bo w handlu nie można po- noć znaleźć nabywców na częstochow- skie długopisy. A jednocześnie dziesiąt- ki zakładów rzemieślniczych produkują

masowo długopisy, często gorsze i droż- sze, i te znajdują nabywców w handlu.

„Działalność tutaj jednak — stwierdza au- tor — w klasycznym wzorcowy sposób system powiązań pośredników handlo- wych, tzw. zapatrzeniowców, z produ- centami długopisów. Odpowiednia pro- wiza, zaciągnięta w kopercie i zapatrze- niowiec zamawia długopisy droższe i gor- sze, ale u prywatnego lub „spółdzielcze- go” producenta.

W tym kontekście drobnomieszcza- nin i ci wszyscy, którzy przesiedli mental- nością drobnomieszczańską, są i będą w naszych warunkach warstwą, na której bazują wszelkiego rodzaju rewizjonści i „naprawicze” socjalizmu. Są warstwą, którą kapitalizm uważa za swoją poten- cjalną bazę społeczną w mieście. Te właśnie tendencje, obok szerokiego nega- tywnego wpływu na proces socjalistycz- nego wychowania młodzieży i całego spo- łeczeństwa, uznajmy za najgroźniejsze w chwili obecnej.”

Chcemy ponadto zwrócić uwagę czytel- ników na korespondencję „Tygodnika De- mokratycznego” z Jugosławii pióra Jo- anny Ronert. Autorka omawia w niej sprawy dysproporcji w rozwoju poszczę- gólnych republik i dysproporcji w do- chodach i zarobkach oraz kwestie bezro- botnia, jako nie jedyną zresztą przejawy jugosłowiańskich kontrastów.

LEKTOR